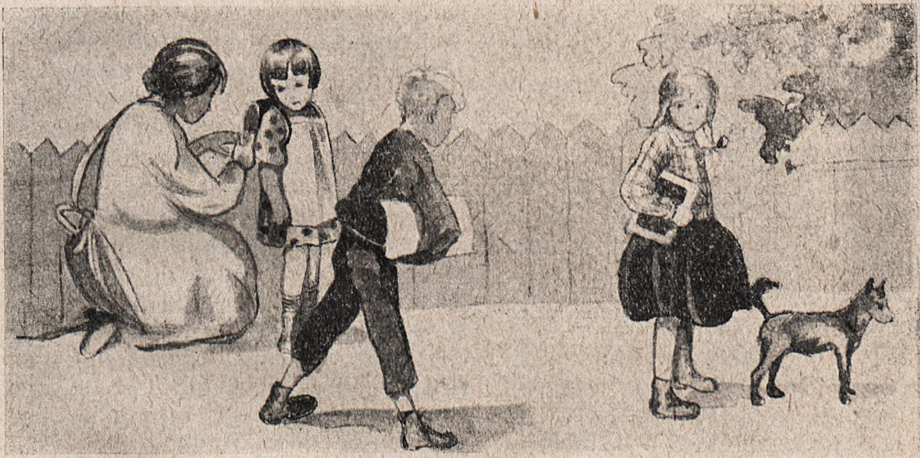
Rok IV. Tarnów, dnia 6 września 1936 r. Nr. 36

Dodatek
Króluj nam Chryste
dla dzieci

Już wakacyj minął czas...



Już wakacyj minął czas,
Szkolny dzwonek woła nas!
Idźmy żwawo w Imię Boże
Z dobrą wolą, jak kto może,
Pracy nadszedł czas!
Nabiegaliśmy się już
Wpośród płowych zbóż —
Już wakacyj minął czas,
Dzwonek woła nas.
Złotym słońcem opaleni
Jak małe cygany
Oto się schodzimy znowu
W naszej szkoły ściany.

Mamy umysł żwawy, zdrowy
Łatwo pójdą lekcje w głowy —
Szkoły nadszedł czas!
Na wysiłki naszej pracy
Czeka Bóg na niebie,
Czekają rodacy.
Czeka w domu zakrzątana
Nasza matka ukochana...
Przez długie godziny
Czeka kochająca,
Sama siebie pytająca:
Jakże się też uczy w szkole
Ten jej syn jedyny.

M. Ś.

Uczony wujek

Wesoły gwar i śmiech rozlegał się w pierwszy dzień nauki w szkole. Dzieci tak dawno się nie widziały z sobą, więc witały się serdecznie i raz po raz padało hasło Krucjaty: *Króluj nam Chryste! Zawsze i wszędzie* — odpowiadała razem zebrana gromadka.

Na przerwach opowiadały sobie dzieci, jak spędziły wakacje. Nagle zwróciły się wszystkie do Zosi:

— Zosiu, czy ten pan jest jeszcze u was?

— Nie, już odjechał.

— Czy to był żyd? — spytała złośliwie Bronia.

— No wiesz — oburzyła się Zosia — przecież to mój wujek.

— Tak? A nie chodził w niedzielę do kościoła...

— Bo on jest uczony — tłumaczyła Zosia nieśmiało.

Właśnie nadeszła pani nauczycielka. Dzieci zapytały się jej, czy uczeni nie powinni chodzić do kościoła, a pani im powiedziała:

— Każdy katolik, prosty, czy uczony, ma obowiązek wysłuchać Mszy św. w niedzielę i święta. Prawdziwi uczeni są gorliwymi katolikami i wiernie służą Bogu. Są jednak uczeni zarozumiali i pyszni, którym się zdaje, że oni są mądrzejsi i że Bóg nie jest im potrzebny. Są też leniwi i po prostu nie chce się im chodzić do kościoła i modlić się.

— Proszę pani, bo u Zosi...

Ale pani nie lubiła plotek, nie chciała też zrobić przykrości dziewczynce, która cała stała w pąsach, więc kończyła:

— Tacy ludzie są biedni, bo oni oddalają się od Boga. Dlatego wszystkie dzieci z Krucjaty mają modlić się we wrześniu **za uczonych**, aby byli dobrymi katolikami, żeby chodzili do kościoła, przystępowali do Sakramentów św. i swoim dobrym przykładem jak najwięcej osób zachęcili do modlitwy i do dobrego życia.

W klasie zrobiła się cisza, bo już zaczęła się lekcja.

— — — W domu powiedziała Zosia mamusi to wszystko, co pani w szkole mówiła.

— Tak, Zosiu, trzeba się naprawdę gorąco modlić w tej intencji, przyznała i mamusia, bo źli uczeni robią dużo złego. Pamiętasz? Jak wujek był u nas, to i tatuś nie miał ochoty iść do kościoła...

Zosia zobaczyła łzy w oczach mamusi... więc postanowiła, że będzie się modliła za uczonych i za wujka tak gorąco, jak tylko potrafi. r.

Zasypani w kopalni...

(Dokończenie).

I kiedy Mojeścik zapalał swoją lampę, Kopoczek obchodził niewielką część chodnika, w którym znaleźli schronienie. Podnosił wysoko światło, oświecał dokładnie zawalisko, patrzał na pogruchotane stemple i coś szeptał. Jakieś święte słowa. Wargi miał sine,

a dłonie trzęsły się nieznacznie.

Wrócił do skulonych chłopców. Siedzieli pod ścianą, patrząc w niego oczyma, z których ślepiło *stężałe przerażenie.*

— Tośmy naprawdę zasypani? — wymamlał Karlik.

— Cicho, syncy! Nie trzęście się tak, jak stare baby!... Może przejdziemy!... Oto, tam! — i wyciągnął ramię z lampą w kierunku zawaliska, które zagrodziło im drogę pod szyb.

— Wstawajcie! — rzekł znowu. *Głos jego był już znowu twardy i szorstki. A przede wszystkim* mocny.

Chłopcy podnieśli się.

— Może tam przejdziemy!... — zaczął znowu, podchodząc pod strome usypisko obwału. Widzicie? — i podniósł wysoko lampę.

Chłopcy spojrzeli na nią i zobaczyli wąską szczelinę, czerniejącą między krawędzią nieoberwanego stropu a zjeżonym rumowiskiem.

— Wiecie... może tam będzie przejście... może tam potrafimy się przecisnąć... Pójdę pierwszy, a wy za mną... Najpierw ty, Karlik... a potem Mojeścik!... Musicie ostrożnie się czołgać, żeby nie trącić wiszących kamieni głową lub grzbietem... Może da się przejść! A jeżeli nie... Ale o tym jeszcze mamy czas myśleć!... No... idziemy!

Przeżegnał się ukradkiem, chwycił hak lampy w zęby i jął się wynosić na czworakach po stromej ścianie rumowiska. Powoli, ostrożnie. Spod jego butów obsuwały się kamienie, z szelestem staczały pod nogi chłopców. Dotarł do wyrwy w stropie. Wsunął w nią głowę, wsunął lampę i przez chwilę patrzał.

— Może przejdziemy!... — zawołał. — Ale ostrożnie!... Kamienie *wiszą!... Teraz ty, Karlik, za* Karlikiem Mojeścik!

Głos jego wybiegał z tamtej szczeliny, jakby z pustej beczki. Teraz zaczął się przeciskać w głąb rumowiska. Ciasne było przejście. Zapierał się więc nogami, popychał, podrzucał tułowiem, kopane kamienie staczały się na chodnik, lecz stopniowo znikał w *szczelinie. Kiedy już całkiem* zanurzył się w niej, że tylko światło wąską smugą sączyło się spod stropu, poszli chłopcy za jego przykładem. Najpierw Karlik, za nim Mojeścik. Wydrapali się zwinnie pod szczelinę i wczołgali się w oberwane jądro powały. Czekał tam na nich rozciągnięty Kopoczek.

Rozpoczęło się żmudne czołganie.

Kopoczek coraz zatrzymywał się, oglądał za chłopcami, potem znowu podciągał na skurczonych łokciach, odpychał stopami, czasami przeciskał się bokiem między szczelinami, wykręcał na wznak, stękał boleśnie, spluwał i znowu odpoczywał, wyczerpany nadmiernym wysiłkiem. Coraz obrywały się koło nich drobne kamienie, spadały im na głowy i raniły boleśnie dłonie. Wtedy serca ich na drobną chwilę zamierały, a zbielałe wargi szeptały żarliwe zaklęcia i święte słowa, bo to był znak, że strop grozi zarwaniem. Oczy zalewał gryzący pot.

Wieki całe zdawała się trwać ich golgotowa droga. Zdawała się nie mieć końca. Na przodzie po-

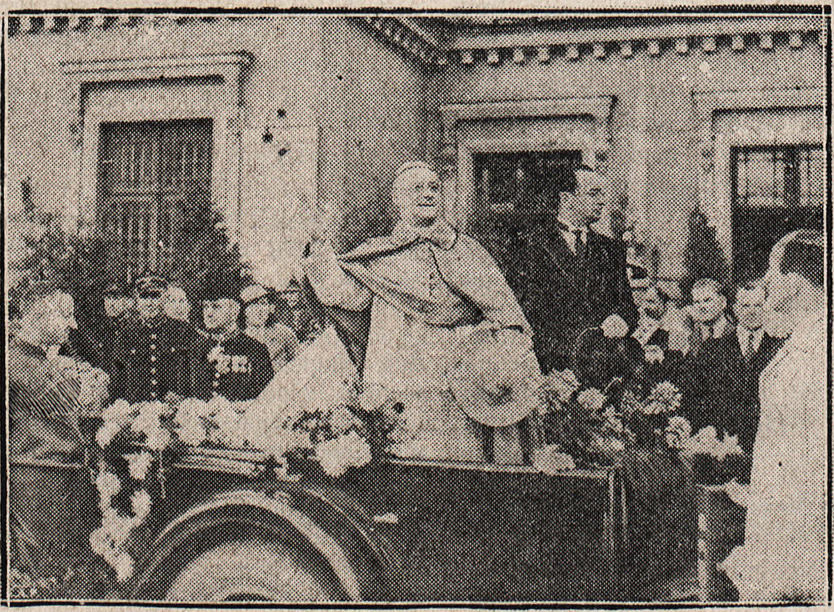
suwał się niestrudzenie Kopoczek. Pokrzykiwał czasem na swoich towarzyszy, zachęcał do wytrwania. Poza tym stękał bez przerwy, spluwał i coś szeptał. Minuty zamieniały się im w godziny, a piętrząca się w ich sercach trwoga ścigała ich, podniecała do nadludzkich wysiłków, kiedy trafiło przeciskać się między kamieniami.

Karlik stracił już nadzieję uratowania się, kiedy znienacka w uszy jego wpadł radosny okrzyk Kopoczka. Chłopiec z wysiłkiem podniósł głowę. Światło Kopoczka straciło się. Zrozumiał, że to już kres ich męki... Ostatkiem sił doczołgał się na brzeg usypiska. Głęboko pod sobą dojrzał chwiejący się płomyk. Kopoczek krzyczał coś radośnie, bełkotał niezrozumiale jak pijany.

— Boże!... Boże!... — zaskomlił Karlik i nagła, ogromna radość zwaliła się na niego. Podrzucił się jeszcze raz. Wtedy uczuł, że kamienie obsuwają mu się pod dłońmi, a on stacza się do Kopoczkowego światła. Wtem wyczuł gwałtowny ból w głowie, w oczach rożegnęła się ogromna, ruda, kolista błyskawica, a potem ciemność spadła na oczy... Jak przez daleką, grubą ścianę słyszy jeszcze Kopoczkowe wołanie:

— Boże!... uratowaniśmy!

(Z książki Gustawa Morcinka: „Narodziny serca")



W Częstochowie odbyły się obrady wszystkich polskich księży biskupów, czyli tak zwany Synod. Przyjechał na te obrady z Rzymu przedstawiciel Ojca świętego, ks. kardynał Marmaggi (czytaj Marmadżi). Widzicie go na obrazku, jak wsiada do auta na dworcu kolejowym w Częstochowie i podniesioną ręką błogosławi witających go Polaków.